

SEKRET  
HRABIEGO  
BERLINGTONA

Text and illustrations © copyright by Anna Mietelska, 2024  
© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2024

*Anna Mietelska*

# SEKRET HRABIEGO BERLINGTONA



*Nasza Księgarnia*

*Rozdział II*

**NIEZWYKLI MIESZKAŃCY**

– Niesamowite – mruczał pod nosem Łilkinson, pogrążony w lekturze najnowszych „Wiadomości z Zielonej Kotliny”.

– Co tam wyczytałeś? – zainteresowała się Ella, która właśnie segregowała w pudełku farby: od ulubionych po te, których używała rzadziej.

Łilkinson stuknął łapką w gazetę.

– Posłuchaj. „W zeszły czwartek Ochotnicza Straż Pysczaków została wezwana do pożaru na Wyschniętym Stepie. Na miejscu stwierdzono, że ogień utworzył wyraźną linię ciągnącą się na przestrzeni kilkudziesięciu metrów. Pytany przez nas o to dowódca straży stwierdził, że forma pożaru jest zaskakująca i niespotykana. Przypo-





mina ona tajemniczy ognisty wir – zjawisko nieodnotowane dotąd w naszych okolicach. Okoliczni mieszkańcy proszeni są o zachowanie ostrożności”.

– Ognisty wir? Brrr, brzmi strasznie. – Ella pokręciła głową. – Powinniśmy postawić kilka wiaderk z piaskiem gdzieś przy hotelu, tak na wszelki wypadek. W ogóle dziwne rzeczy dzieją się u nas ostatnio. Weźmy na przykład ten szalony wiatr w sobotę. Sąsiadka opowiadała, że musiała związać swoje dzieci sznurkiem, bo niektóre podmuchy unosiły je na wyso... – Ella przerwała, gdy dostrzegła wyraz twarzy siedzącego po drugiej stronie stołu Pana Liblinga.

Z każdym słowem gospodarzy jego pyszczek robił się coraz bledszy. Ella trąciła męża łokciem.

Ten zerknął na wystraszonego ryjkowca, nieco zawstydzony zamknął gazetę i podszedł do okna.

– Oho! – zawołał, odchylając aksamitną zasłonę. – Widzę, że niedokładnie oberwałem owoce z berberysu, jeszcze sporo się tam czerwieni. Ale, ale, skoro o nich mowa... Czy ktoś chciałby skosztować mojego soku z berberysu? Mam butelkę jeszcze z zeszłego sezonu i śmiem twierdzić, że to bardzo dobry rocznik. Trunek ten jest zrobiony według przepisu mojej babci. I ma tajny składnik! Panie Libling, czy próbował pan tego cuda? Może wychylimy po szklaneczce na tarasie?

Oczywiście, że Pan Libling próbował, i to nieraz, lecz mimo to posłusznie, ze spuszczonego ryjkiem podreptał za gospodarzem. Usiadł na tarasowym fotelu, okrył się kocem i wziął do łapek szklanę z bładoróżowym napojem. Sączyl go niespiesznie, słuchając, jak Łilkinson opowiada o kluczu gęsi, który przelatował dzień wcześniej nad Zieloną Kotliną.



I jak było do przewidzenia, Pan Libling nabrał wkrótce kolorów. Wyciągnął się w fotelu, wystawił ryjek do słońca, a potem zaczął narzekać. Na żaby, które budziły go czasem w nocy swoim rechotaniem, na poduszkę, która zagięła się w jednym miejscu i przestała być wygodna, na nitkę, która wystawała ze sweterka... Tak, tak, Pan Libling miał naprawdę wiele zmartwień.



Ajmi tymczasem postanowiła poćwiczyć w salonie, największym ze wszystkich pomieszczeń w hotelu. Włożyła baletki, a na uszach zawiązała pasującą do nich satynową kokardkę.

– Pozycja czwarta – obwieściła i wysunęła pod dziwnym kątem jedną nogę do przodu. Jednocześnie uniosła łapkę i ułożyła ją w delikatny łuk. – A teraz *plié*. – I zwisłoucha starała się zrobić w tej skomplikowanej pozycji przysiad.

Ella układała właśnie kwiaty w wazonie, ale co rusz zerkała na ćwiczącą pozycje baletowe Ajmi.

– Pięknie ci to wychodzi, moja droga. Powinnaś wystąpić w przyszłym roku na Jesiennym Dyniofeście. Moja kuzynka, ta, co mieszka u podnóża Sępiej Góry i ma tak dużo dzieci, a jak tu wpadają, to zawsze narobią takiego hałasu, że szyby w oknach dzwonią... Kochane łobuziaki... Otóż ta kuzynka też postanowiła wystąpić. Nie, nie będzie tańczyć. Nauczyła się, wyobraź sobie, żonglować. Miskami bodajże albo łyżkami, nie pamiętam. No, ale przy tej liczbie dzieci taka umiejętność się przydaje... Mo? – przerwała nagle swą opowieść, zdziwiona, bo do salonu wbiegła druga zwisłoucha. A raczej wbiegło coś na kształt zmiotki do kurzu, bo futerko Mo sterczało w różnych kierunkach.

– Maszyna jeszcze nie działa jak trzeba – wysapała napuszona kulka. – Muszę coś poprawić. Ajmi, przestań! – Zwisłoucha wrzasnęła na siostrę, bo ta padła na fotel i zanosila się od śmiechu.

– Hi, hi, hi... Pożyczyć ci szczotkę? Hi, hi... – ledwo mogła wydusić z siebie baletnica.

– Nie, nie trzeba – fuknęła w odpowiedzi Mo. – Wydaje mi się, że to jakoś samo opadnie. – Zwisłoucha próbowała przygładzić łapkę napuszone włoski.

– A przy okazji – zmieniła temat Ella. – Widziałyście dzisiaj Dżersiego? Bo nie wiem, czy będzie na kolacji. Zamierzałam przygotować pudding z suszonych kwiatów dyni. A to ten rodzaj puddingów, które trzeba jeść od razu po wyciągnięciu z pieca, bo inaczej opadają.

Tym, którzy jeszcze tego nie wiedzą, zdradzimy, że Dżersi mieszkał w hotelu pod trójką i był kotem. Najmniejszym i najśłodszym, jakiego można sobie wyobrazić. Wszyscy zachwycali się jego uroczymi uszkami, srebrzystoszarym futerkiem i małym noskiem. Tymczasem on wołał być doceniany za swoją siłę i zwinność. Marzył, by zostać szybkobiegaczem. Przybył do Hotelu Grandspejszyn, aby w tajemnicy trenować do zawodów sportowych, ale tak się ułożyły jego losy, że... został tu na dłużej.

Dżersi większość czasu spędzał samotnie, biegając po polnych ścieżkach lub stromych pagórkach. Jeśli jednak była jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa, stawiał się zawsze w hotelu, a jego siła i szybkość już nieraz wyratowały przyjaciół z opresji.





Nikt nie wiedział, czy tego wieczoru Dżersi dotrze do hotelu na czas, czy jak zwykle zadowoli się zimnymi daniami z kolacji na tacy pod drzwiami pokoju. Dlatego Ella postanowiła, że zamiast puddingu będzie ciasto. I nie z kwiatów dyni, tylko z nagietków, bo jeszcze ostało się ich kilka w ogródku.

„A jakby tak dodać trochę cynamonu? Wtedy kolor byłby jeszcze piękniejszy...” – pogrążyła się w myślach gospodyni.